ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 83

Nr. 17. | Warszawa, 19 sierpnia (1 września) 1902 r. | Rok IV.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.

ZGON NAJMILSZEGO.

Ze Zjazdu Łowieckiego

WE LWOWIE.

(Dokończenie)

Przy tem wszystkiem nie wspominając już o tem, że zakres działania gmin wiejskich w ich własnym i poruczonym zakresie działania przekracza niejednokrotnie możność podołania nałożonym skądinąd obowiązkom, niepodobna przy istniejących stosunkach obronić się pewnemu powątpiewaniu, czy dzisiejsza zwierzchność gminna potrafiłaby odpowiedzieć włożonemu na nią zadaniu i czy wydzierżawianie polowań gminnych tą drogą nie dałoby w najbliższej przyszłości powodu do uzasadnionych i licznych zażaleń.

Z powołanych wyżej postanowień wniosku p. Żardeckiego dawałaby się wydedukować pewna nieufność do wykonywania przepisów ustawy łowieckiej ze strony powiatowych władz politycznych.

Przy znajomości stosunków krajowych pozwalamy sobie mniemać, że w tych wypadkach, gdzie zwierzchność gminna występuje, jako taka, na podstawie dotychczasowych doświadczeń należy w każdym razie większem zaufaniem obdarzać polityczną władzę powiatową, aniżeli złożoną często z ludzi zupełnie nieoświeconych, zwłaszcza we wschodniej części kraju, zwierzchność gminną.

Gdyby jednak powołane wyżej, a przez p. Żardeckiego projektowane zmiany ustawy łowieckiej dały się z tych lub owych względów do pewnego stopnia usprawiedliwić, choć i te postanowienia byłyby już z góry zabójcze dla kultury łowieckiej, to już żadną miarą nie zasługują na żadne usprawiedliwienie, ani uwzględnienie te wszystkie postanowienia wniosku p. Żardeckiego, które dotyczą nadzoru nad polowaniem, ochrony zwierzyny i wykonywania policyi łowieckiej.

Przypuścić należy, że szan. Wnioskodawca stoi na gruncie zasadniczej konieczności istnienia ustawy łowieckiej i że na tem polu uznaje konieczność ujęcia kultury łowieckiej i wogóle stosunków łowieckich w pewne z góry określone normy; a tem samem uznając potrzebę przepisów ustawowych przyznać zechce niewątpliwie, że przepis ustawy pozbawiony wszelkiej egzekutywy, niedający się w praktyce niczem obronić, ani zawarować, byłby po prostu dziwolągiem ustawowym, byłby martwym przepisem, nie wprowadzającym i na tem polu porządku i ładu społecznego, ale raczej wywołującym demoralizacyę i nadużycia.

Zaraz w § 32 zmienia szan. Wnioskodawca przepis dotychczasowej ustawy w ten sposób, że wystarczającą kwalifikacyą dla strażnika polowania ma być tylko ukończony 24 rok życia, poddaństwo austryackie, dobre zdrowie i nienaganne prowadzenie się, uchyla zaś przepis ustawy krajowej z 4 września 1892 r. Nr. 74 dz. u. k., dający przynajmniej do pewnego stopnia gwarancyę, że strażnik polowania, stojący w pierwszej linii na straży wykonania przepisów ustawy łowieckiej, musi być osobą ze wszech miar odpowiednią i na zaufanie zasługującą. Nienaganne życie, przy możliwej elastyczności pojęć pod tym względem, takiego zaufania obudzić nie może.

W § 35 wniosku znosi p. Żardecki przepis dotychczasowej ustawy, zarządzający zupełne zamknięcie polowania w niektórych okręgach na pewien czas i dla pewnego rodzaju zwierzyny, zagrożonej zupełnem wyniszczeniem.

Dlaczego i ten ustęp miałby być proskrybowanym, to odgadnąć trudno. Jeżeli bowiem zechce sz. Wnioskodawca stanąć raz na tem stanowisku, że zwierzyna jest już obecnie ważnym artykułem dochodu i że dochód ten wzrastać, a nie maleć powinien, to z logiczną koniecznością podzielać musiałby tendencye wszystkich myśliwych w kraju, tendencyę wyrażającą się w tem, że dążyć należy do rozmnażania a nie wytępiania zwierzyny pożytecznej.

Szan. Wnioskodawca chciałby wypowiedzieć wojnę wszystkim dzikim zwierzętom bez względu na to, czy są one pożyteczne lub szkodliwe, a widocznie nic mu na tem nie zależy, jeżeli w przyszłości, gdyby jego wniosek miał się stać ustawą, ilość zwierzyny łownej, a z nią i cyfra dochodu o połowę się zmniejszy.

W § 36 wniosku znosi szan. Wnioskodawca postanowienie dotychczasowej ustawy, że sprzedaż łownej zwierzyny przez handlarzy odbywać się może tylko za okazaniem świadectwa jej pochodzenia.

W § 38 wniosku rozszerza wnioskodawca prawo buszowania ze strzelbą w ręku po cudzym okręgu polowania i na osoby w myśl § 46 ustawy łowieckiej do zabijania pewnych szkodliwych zwierząt na własnym gruncie uprawnionych, a tem samem ścieśnia i tak już utrudnioną możność nadzoru nad licznymi u nas w kraju kłusownikami.

Przepis § 43 zmienia p. Żardecki w ten sposób, że włóczące się psy po polach i lesie mogą być tylko w oddaleniu co najmniej 500 metrów od domu mieszkalnego zabijane, zamiast dotychczasowych 300 metrów.

I tego ustępu wniosku nie można sobie żadną miarą racyonalnie wytłumaczyć, tem bardziej, że szan. Wnioskodawca pominął zupełnem milczeniem niejasność dzisiejszej ustawy łowieckiej, gdyż i on także nie decyduje kwestyi, czy przez dom mieszkalny ma być rozumiany dom mieszkalny w ogóle, czy też, jak to już

ELIZA

OPOWIADANIE MYŚLIWSKIE

Opracowane przez **J. K.**

(Dalszy ciąg).

Cisza grobowa nastała po tych słowach Drakowskiego, przerywana tylko ustawicznem łkaniem Elizy. Ojciec wstał wreszcie z trudnością i opuścił pokój w milczeniu. Córka pozostała, tonąc we łzach i wzdychając głęboko. Co chwila wyrywało jej się słowo: „sprzedana, sprzedana".

Dzień i noc całą przemęczyła się biedna dziewczyna, obmyślając najrozmaitsze sposoby wyjścia z okropnego położenia. Nadaremnie. Nie było dla niej ratunku; ze szczerą, świętą miłością w sercu do kogo innego, będzie musiała iść do ołtarza z człowiekiem, którego nienawidzi i którym gardzi. Gdy nad ranem zaczęła drzemać, prześladowały ją sny najstraszliwsze. Widziała ojca za kratami żelaznemi, ze łzami w oczach błagającego ją o litość. To znowu widziała go z raną otwartą i jątrzącą się na czole, broczącego we krwi na podłodze, z rewolwerem w ręku. Z okrzykiem zgrozy przebudziła się nagle. Wątpliwość była rozstrzygnięta. Musi się poświęcić. Zrani serce własne, wyrwie zeń miłość do ukochanego, bo musi ratować ojca.

Po upływie dwóch dni Eliza zaręczyła się formalnie z Neuhofem.

Gdyby z jasnego nieba piorun uderzył w Pawła Sędziaka, nie byłby bardziej przerażony i zdziwiony, jak teraz, gdy otrzymał wiadomość o tych zaręczynach. Ręce mu drżały, gdy trzymał kartę ozdobną ze złotemi brzegami. Litery wirowały w szalonym tańcu przed jego oczyma; jak chochliki szyderczo naśmiewały się zeń zawiłe inicyały imion zaręczonych.

Czy to możliwe? Czy to jego Eliza, która przed kilku jeszcze dniami szeptała mu potajemnie, że nic na świecie nie zdoła przeszkodzić jej w miłości, która jest jedynem jej szczęściem i pragnieniem, że musi pozostać jego żoną i że niezadługo uściolą sobie gniazdko w Dolicach? Czy można sobie wyobrazić, żeby tylo obłudy i słów kłamliwych mieściło się w ludzkiem sercu?

— Nie, tysiąc razy nie — mówił sobie, — te zaręczyny są zapewne aktem przymusu, narzucone jej mimo jej woli.

w praktyce się utarło, a w teoryi jest usprawiedliwionem dom—mieszkalny tylko właściciela psa lub kota.

Przy postępowaniu w razie szkód wyrządzonych przez zwierzynę wprowadza sz. wnioskodawca w § 56 tę zmianę, że zamiast powołanych na znawców bezstronnych i nieposzlakowanych ludzi fachowych, mieliby przy badaniu i oznaczaniu szkód wyrządzonych przez zwierzynę fungować detaksatorowie gminni.

Nie jest naszym zamiarem występować zasadniczo przeciwko instytucyi detaksatorów gminnych, ale nie podobna obronić się pewnemu zdziwieniu, dlaczego detaksatorowie gminni mają zasługiwać na większe zaufanie i być odpowiedniejszymi znawcami przy badaniu szkód przez zwierzynę wyrządzonych, jak powołani według dotychczasowej ustawy bezstronni i nieposzlakowani ludzie fachowi.

Jasnem jest bowiem, że według przepisów obecnej ustawy także i detaksator gminny może być na znawcę powołanym, jeżeli tylko może być uważanym za człowieka bezstronnego i nieposzlakowanego i jeżeli posiada choćby te konieczne i prymitywne wiadomości fachowe, które przy trudnych nieraz wypadkach badania szkód, przy wyszukiwaniu do dania odszkodowania rzeczywiście obowiązanego, w interesie sprawiedliwości są niezbędnie potrzebne.

Gdy streścimy myśli przewodnie wniosku p. Żardeckiego, to z całego brzmienia tego wniosku nasunąć się musi mimowoli przypuszczenie, że szan. Wnioskodawca nie uznaje wcale łowiectwa za ważną gałąź gospodarstwa krajowego, że uważa kulturę łowiecką i nieodłączną od niej racyonalną hodowlę zwierzyny za rzecz szkodliwą i zdrożną.

Kto utrzymuje zasadniczo okręgi polowania, kto utrzymuje zasadę samodzielnego prawa polowania i zasadę wydzierżawiania nie tworzących samodzielnych polowań, drobnych terytoryów, kto stoi na stanowisku porządku i ładu społecznego i moralności przy przestrzeganiu istniejących przepisów, ten nie może proponować tego rodzaju zmian istniejącej ustawy łowieckiej, jak to szan. Wnioskodawca uważał za stosowne uczynić.

Szan. Wnioskodawca nie przewiduje prawdopodobnie skutków praktycznych swego wniosku — nie widzi, że ten wniosek stałby się ruiną dla łowiectwa w kraju, a nie widząc, nie wie także, czy zapomina, że w kraju podnoszącym się zaledwie z trudem z wiekowego upadku ekonomicznego, żadnego choćby najdrobniejszego źródła dochodu w gospodarstwie krajowem marnować nie wolno.

Galicyjskie Towarzystwo łowieckie, pracując od całego szeregu lat nad podniesieniem kultury łowieckiej w kraju, dumne z osiągniętych już na tem polu rezultatów, reprezentujące już dziś przeszło 1000 członków z pomiędzy sfer najwybitniejszych myśliwych w kraju, skupiające wreszcie w swojem gronie wszystkie bez wyjątku istniejące w kraju towarzystwa myśliwskie, uważa się nietylko za uprawnione, ale wręcz za obowiązane do zabrania głosu w sprawie wspomnianego wyżej wniosku p. Żardeckiego i do energicznego protestu, przeciw tym tendencyom, które z tego wniosku się przebijają, a które podnoszącą się zwolna kulturę łowiecką zniszczyć i do ruiny doprowadzić są w stanie.

Zwracamy się przeto z usilną prośbą do Wysokiej Komisyi, by przy obradach nad wnioskiem p. Żardeckiego wszystkie wyżej naprowadzone momenta zechciała mieć na uwadze i zagrożony wnioskiem posła Żardeckiego byt i istnienie łowiectwa krajowego w energiczną obronę wziąć raczyła, a nadto, gdy przedmiotem narad będą kwestye czysto fachowe i to nietylko ustawnicze, ale sięgające do podwalin kultury łowieckiej, uprasza usilnie podpisane Towarzystwo, by Wysoka Komisya raczyła do obrad nad wnioskiem p. Żardeckiego i wogóle nad kwestyą ewentualnych zmian w istniejącej ustawie łowieckiej powołać w charakterze ekspertów z łona gal. Towarzystwa łowieckiego osoby przez Wydział tego Towarzystwa wskazane.

Pozwalamy sobie mniemać, że powołanie takich ekspertów, mających obowiązek udzielania tylko fachowych wyjaśnień i bez prawa głosowania, nie będzie uwłaczać w niczem powadze Wysokiej Komisyi, a może się tylko przyczynić do tem bardziej wyczerpującego i dla kultury łowieckiej tak ważnego omówienia i zadecydowania sprawy.

Nowo wybrany prezes, hr. Stadnicki, po odczytaniu tej petycyi zabrał głos i objaśnił, że wniosek posła Żardeckiego nie ma żadnych podstaw, ale widocznie był go zmuszony wnieść, ulegając pewnym wpływom. Podnosi następnie Prezes pominięty przez referenta petycyi szczegół z nowego projektu ustawy, a mianowicie przepis, którýby sobie p. Żardecki życzył mieć w nowej ustawie, a na mocy którego wolno każdemu właścicielowi ogrodu zakładać na swoim gruncie samołówki, a więc oczywiście druty, siłki i t. p., celem łapania szkodników. Ponieważ jednak takiego opatentowanego wynalazku, żeby do łapek wchodziła tylko szkodliwa zwierzyna jeszcze niema, przeto będzie się łapać oczywiście na wszystkie takie łapki pożyteczna zwierzyna. Zwraca także mówca między innemi uwagę na fakt, że karty łowieckie projekt p. Żardeckiego znosi; spodziewano się, przy uchwaleniu tych kart, że będą one hamulcem dla kłusownictwa — nie spełniły one w całości zadania swego, ale fundusz krajowy ma przynajmniej z nich zysk i jest możliwe, że jakaś część funduszu, z kart uzyskanego, zostanie przeznaczona na cele łowieckie. Mówca jest przekonany, że wobec nawału zajęć Sejm tegoroczny nie wejdzie w meritum

---

Porwał się gwałtownie. Chciał pobiedz do Wulchowa, by usłyszeć z jej ust potwierdzenie swych domysłów, a wtedy za cenę życia, z bronią w ręku, wyrwać ukochaną z objęć narzuconego jej człowieka.

Będąc już przy drzwiach, przypomniał sobie coś jeszcze. Wrócił się i zbliżył do żelaznej szkatułki, którą roztworzył, wydobył z niej szpilkę do krawata i schował ją do kieszeni.

Wypadki mu sprzyjały. Idąc przez park wulchowski, spotkał się z Elizą, bladą i z zapłakanemi oczyma. Gdy go ujrzała, przyłożyła chustkę do oczu: podała mu rękę, jakby chcąc się o niego oprzeć. Zachwiała się jednak, a Paweł ledwo zdążył ją uchwycić, by nie dać jej upaść na ziemię.

— Elizo, — zawołał zdumiony — Elizo, czy to prawda, że jesteś narzeczoną Neuhofa?

Milcząco potakiwała głową, a strumień łez popłynął z jej oczu.

— I w jaki sposób zniewolili cię do tej niewierności dla mnie? — zapytał.

Eliza wzdychając głośno, nie mogła słowa odpowiedzieć. W milczeniu oparła głowę o ramię Pawła.

— Powiedz mi, kochana, to jedno tylko, że ojciec cię zmusił do tych zaręczyn, a przysięgam, iż powiem mu słowo, które uwolni cię natychmiast od znienawidzonego Neuhofa. Bóg mi powierzył coś takiego, co skłoni twego ojca do mej woli. Powiedz mi tylko, że nie z własnej woli dałaś zezwolenie na ten związek.

Eliza podniosła teraz głowę i popatrzywszy na ukochanego, rzekła smutna i zrozpaczona:

— Nie, Pawle, nikt mnie nie zmusił do tego kroku. Dobrowolnie udzieliłam pozwolenia. Lecz nie badaj z jakiej przyczyny, bo o niej nikt nigdy wiedzieć nie powinien. Jeżeli jednak kochałeś mnie kiedy tak, jak ja ciebie, to poddaj się, jak ja, nieszczęsnemu losowi. Przysięgłam ci nigdy innego nie pokochać, prócz ciebie, tej przysięgi dotrzymam do grobu. Przenigdy kochać nie będę innego, nawet wtedy, gdy mnie zwiąże z nim prawo i Kościół, nie będę niczyją żoną.

— Ależ Elizo, — zawołał Paweł — toć to szaleństwo! Czemuż mamy być oboje nieszczęśliwi całe życie, gdy możemy być najszczęśliwszymi ludźmi na świecie, mając do tego sposób odpowiedni?

— Takiego sposobu niema, Pawle—odrzekła Eliza.

— A jednak — zawołał uniesiony uczuciem—mam środek taki, spojrzyj na to!

I mówiąc to, wydobył z kieszeni wiele znaczącą szpilkę.

— Tę szpilkę znalazłem w dłoni zastrzelonego gajowego. Mordercą jego był napewno człowiek, do którego

sprawy zmiany ustawy, sądzi jednak, że będzie dobrze, gdy się petycyę wniesie, i to nie do komisyi wprost lecz przez Sejm. bo czy sprawa ta będzie w komisyi rozbieraną, czy przejdzie do Wydziału krajowego, zawsze ze zdaniem fachowego czynnika—liczyć się i komisya i Wydział będzie.

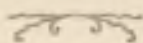

Prochy małodymne

przez

Władysława Słonczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Dla bardziej jednostajnej ścisłości, do masy dodaje się jedną do dwóch części difeniljaminu. Prochowe arkusze kraje się potem na płatki lub pręciki określonych rozmiarów.

Sposobu otrzymywania prochowego ciasta dla wyrobu Ballistitu nie można nazwać bezpiecznym, ponieważ ma się do czynienia z nitrogliceryną i suchą pyrokseliną. Dla uniknięcia niebezpieczeństwa Lungholm i Sajers wprowadzili następującą zmianę: Zmięszanie odpowiednich ilości pyrokseliny i nitrogliceryny odbywa się pod wielką ilością wody nagrzanej do 60°. Ogrzewanie mięszaniny odbywa się w ciągu kilku dni, i w tym czasie nitrogliceryna rozpuszcza pyrokselinę. Z gotowego ciasta wyciska się wodę w prasie, poczem masa idzie na obróbkę pod nagrzane walce.

Curtis i André wynaleźli pyrokselinowo-nitroglicerynowy proch, zwany *„Amberite,"* następującego składu: 44 części nierozpuszczalnej pyrokseliny, 12 części rozpuszczalnej pyrokseliny, 40 części nitrogliceryny, i 4 części mięszaniny parafinu z szellakiem. Części składowe prochu starannie się miesza i poddaje działaniu spirytusu z eterem, który rozpuszcza pyrokselinę niższego stopnia nitracyi.

Przeróbka prochowej masy na ziarna odbywa się tymże sposobem, jaki jest przyjęty przy fabrykacyi prochu „E. C.", a wysuszone prochowe ziarna poddaje się też działaniu mięszaniny spirytusu z eterem.

Dla broni myśliwskich używa się *prawie wyłącznie pyrokselinowych prochów,* opisywane zaś powyżej prochy pyrokselinowo-nitroglicerynowe Nobela, Curtisa i André'go są fabrykatami ostatnich już czasów.

Jedną z głównych właściwości tych ostatnich prochów jest ich taniość, pochodząca ztąd, że dla obróbcenia prochowej mięszaniny na ciasto nie potrzeba używać drogich rozpuszczalników. Nadto pomimo, że jednostka wagi nitrogliceryny daje w porównaniu z pyrokseliną mniejszą objętość gazów, to temperatura ich jest znacznie wyższa, wskutek czego dla otrzymania jednego i tego samego balistycznego skutku ładunek pyrokselinowo-nitroglicerynowego prochu musi być mniejszy od ładunka prochu czysto pyrokselinowego, co naturalnie wpływa na taniość ładunka.

Wielką wadą pyrokselinowo-nitroglicerynowych prochów jest niebezpieczeństwo ich wyrobu, co wypływa nietylko z niebezpieczeństwa przy fabrykacyi samej nitrogliceryny, ale i z obchodzenia się z nią, dopóki nie wyrobi się wraz z pyrokseliną prochowe ciasto. Prócz tego temperatura gazów rozwijających się przy spalaniu pyrokselinowo-nitroglicerynowych prochów wskutek dodatku nitrogliceryny znacznie jest wyższa od temperatury gazów, tworzących się przy spalaniu się prochów pyrokselinowych, a wskutek tej okoliczności powierzchnia kanału lufy silnie się wypala, zmniejszając znacznie czas, jaki broń służyć powinna. Zjawiska tego przy używaniu pyrokselinowych prochów nie dostrzegamy wcale.

Wszystkie wymienione tutaj względy i okoliczności pozwalają przypuszczać, że prochy zawierające nitroglicerynę nie znajdą szerokiego zastosowania do broni myśliwskiej.

VI.

Charakter spalania się małodymnych prochów w zależności od ich ścisłości.

Opisując proces żelatynowania prochów: „Schultze" i „E. C." widzieliśmy, że przy tem na ziarnach formuje się naskórek, wprawdzie dosyć ścisły, ale tworzący się jedynie na powierzchni ziarna. Wewnętrzna część ziarna nie przesyca się rozpuszczalnikiem, i pozostaje w niezmienionym stanie. W skutek tego ziarna prochowe mają skłonność do przecierania się lub też gniecenia, i odznaczają się bardzo małą ścisłością w porównaniu z temi prochami, które stanowią jednolitą żelatynowaną masę pyrokseliny lub nitrowanego drzewnika (nitrocellulozy), jak naprzykład prochy miejscowe: „Sokół" i „generała W. W. Liszewa".

Ścisłością prochu nazywa się stosunek wagi prochowego ziarna, do wagi wody jednakowej z ziarnem objętości.

Prochami o najmniejszej ścisłości są angielskie: „Schultze" i „E. C.", ścisłości ich wynoszą bowiem 0,96 i 0,95; natomiast ścisłość prochu „Sokół" wynosi 1,56, „Liszewa" zaś 1,62.

Ścisłość prochów małodymnych najbardziej wpływa na ich balistyczne własności.

---

należy owa szpilka. Z miłości do ciebie utaiłem ten przedmiot znaleziony. Widzisz, Bóg sam uczynił twego ojca odemnie zależnym. W tej chwili śpieszę do niego za kilka minut będziesz wolna.

Eliza przerażona widokiem szpilki i słowami kochanka, zatrzymała go silnie, gdy już chciał iść do ojca.

— Poczekaj, Pawle — zawołała. — Daj pokój. Na pamięć kochanej matki umarłej przysięgam, że ojciec nie jest mordercą gajowego. Ojciec mój nie wydalił się nawet dnia tego z Wulchowa. Liczni świadkowie mogą to potwierdzić. A jednak, jeżeli kto się dowie o tej szpilce, to będę nieszczęśliwa całe życie. Bóg mi świadkiem, że nie mogę inaczej postąpić. Straszna tajemnica stanęła między nami i rozdziela nas okrutnie. Musisz się zadowolić przekonaniem, że będę ci wierną przyjaciółką, póki mi życia stanie, ale żegnaj na zawsze.

Paweł stał, głęboko wzruszony słowami Elizy, nie mogąc sobie wyjaśnić ich znaczenia. Stał jakby przykuty do miejsca, nie widząc nic, co się koło niego dzieje. Gdy ocknął się, zdawało mu się, że miał sen przykry, nieprawdopodobny. Zdaleka jednak ujrzał jeszcze jasną postać oddalającej się między drzewami kochanki.

W cztery tygodnie później odbył się ślub Elizy z p. Neuhofem. Po uroczystości weselnej młoda para wyjechała do majątku Neuhofa. Gdy przybyli na miejsce, Eliza poprosiła męża o chwilę rozmowy poważnej Zgodził się na to z przyjemnością i udał się do buduaru żony. Poprosiła go siedzieć i zaczęła w te słowa:

— Wiem, żeś pan wczoraj wypłacił sumę, za którą mnie sprzedano. Za pomocą swych pieniędzy i lekkomyślności mego ojca osiągnąłeś pan to, czegoś pragnął; wobec prawa jestem pańską żoną. Nie ośmielaj się pan jednak nigdy przestąpić progu mojego pokoju bez zezwolenia uzyskanego odemnie. Świat będzie nas uważał, niestety, za małżonków, w domu jednak będziemy sobie zupełnie obcy. Pierwsza próba przekroczenia z pańskiej strony będzie ukarana wskazaniem mordercy gajowego Konicza.

Twarz Neuhofa zbladła śmiertelnie przy tych słowach, wyrzeczonych przez żonę Niezdolny odpowiedzieć słowa, ukłonił się w milczeniu i wyszedł z buduaru.

(D. n.)

Im proch jest ścislejszy, tem działanie jego jest równomierniejsze, tem mniejsze są ciśnienia almosfer, jakie tenże rozwija przy spalaniu się – i tem, naturalnie, jest bezpieczniejszy.

Pewnik ten musimy sobie bardzo utrwalić w pamięci, do końca tej pracy bowiem będziemy widzieli wpływ ścisłości prochu na balistyczne jego własności, na niewrażliwość na pogodę i stan barometryczny powietrza, jakoteż i na bezpieczeństwo w obchodzeniu się.

Dla większej jasności weźmy pod rozbiór dwa prochy: angielski „E. C." o najmniejszej ścisłości 0,95. i miejscowy „Liszewo," którego ścisłość jest najwyższa, wynosi bowiem 1,62.

(D. c. n.).

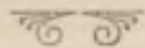

Jeszcze o bojowniku.

Artykuł mój „O bojowniku, czyli bataljonie," umieszczony w Nr. 10 „Łowca Polskiego" z roku zeszłego uzupełniam jeszcze niektóremi obserwacyami.

Bataljony, przyleciawszy w kwietniu, odrazu obierają sobie miejsce na tokowisko—ciągnąc gromadnie po kilkadziesiąt i więcej sztuk. Na tokowisku, nie pamiętam dziś dokładnie, nie bawią dłużej nad trzy tygodnie, poczem jednego pięknego poranka, wszystkie same znikają co do jednego i nikt ich tu nie zobaczy aż do przyszłej wiosny. Część samic zostaje dla lęgu—lecz i te wraz z potomstwem bawią tu niedłużej jak do 10-go czerwca. Później strzelałem młode nieraz, to na małych błotkach, byleby nie pokrytych wodą, to nad brzegami rzek i jezior, w miejscach względnie suchych i trawą nieraz na pół łokcia wysoką porosłych. Samicy zaś nigdy w tej porze wraz z młodemi nie spotkałem. Jak mówiłem w poprzednim opisie, o ile stare są bardzo płochliwe, o tyle młode przeciwnie, stojąc w trawie wyprostowane, na kilkanaście kroków dopuszczają do siebie, po czem zrywają się dość wolno i nawet po strzale niedaleko zapadają. Ta ich niepłochliwość trwa bez względu na porę roku dopóty, dopóki nie złączą się z innem bojaźliwem ptactwem, a szczególniej z czajkami, bo w takim razie już niema mowy o strzelaniu do nich. Kolor młodych jest szary- na grzbiecie tylko i skrzydłach każde piórko jest w środku szare, szeroko rudym kolorem obramowane, co im nadaje niejakie podobieństwo do turkawki.

Teraz przejdę do objaśnienia, czy usprawiedliwienia mego opisu. Nie jest on wynikiem dorywczych spostrzeżeń, lecz dwunastoletniej obserwacyi, porównywania przy sprzyjających okolicznościach, które wreszcie uwieńczył wypadek, jak to często się zdarza przy innych odkryciach.

Naprzód mieszkałem nad samem błotem lęgowem, gdzie oprócz rozmaitego ptactwa, corocznie kilkadziesiąt sztuk bataljonów przylatywało co wiosna, powtóre co drugi dzień z małemi wyjątkami, bywałem z wyżłem na błocie—zawsze widywałem bataljony to żerujące gromadnie, lecz jeden od drugiego w pewnem oddaleniu—to siedzące w ściśnionej kolumnie nad suchemi brzegami jeziorek, które się w pobliżu błota znajdowały Lecz z tego widywania nic przez lat parę wywnioskować nie mogłem, jak prawdopodobnie i żaden z myśliwych, choćby nie wiem ile razy był na błocie, niby wywnioskować nie zdołał, zwłaszcza, że, jak w poprzednim opisie mówiłem, zbliżać się do siebie nie pozwalają. Musi to być rzecz nader trudna, skoro dotąd nikt natury tego ptaka należycie nie zbadał. Błoto lęgowe jest zawsze na cal lub dwa pokryte wodą, widziałem to w różnych miejscowościach; w Pińszczyźnie np. miejsca takie, jeżeli nie zupełnie, to zawsze bardzo trudno są dostępne i nie łatwo tam prowadzić skuteczną obserwacyę. Ja zaś miałem błoto zupełnie bezpieczne i niezbyt pracowite. Ale to wszystko nic doprowadziłoby mnie do pożądanego rezultatu, gdyby mi był nie posłużył dziwny wypadek zimową porą, jaki się zdarzył na mojem błocie. Oto utworzyło się jeziorko kilkanaście kroków szerokie, a kilkadziesiąt długie, brzeg jeden został na szerokość kilku kroków podniesiony o tyle, że zeń ustąpiła woda,—puszczająca się trawka była na nim mocno przyklepana—przypisywałem to kaczkom, tymczasem była to sprawa bataljonów, które z chwilą przylotu swego natychmiast go obrały na miejsce tokowiska, opuszczając zupełnie wspomniane wyżej jeziorka. Uderzyło mnie to i zacząłem się pilnie przypatrywać—a ułatwiała mi obserwacyę bliskość nowego jeziorka od brzegu, niedalej jak kroków 500, a nawet z rogu ogrodu mogłem widzieć to miejsce. Wskutek tego zauważyłem punktualność przylotu i odlotu z tokowiska — reszta spostrzeżeń już mi nie przyczyniała zbytnich trudności, tembardziej, że odtąd nie spuszczałem z oka tego ptactwa.

Parzenie się bataljonów, jeśli nie na tokowisku, to tak jak bekasów, musi się odbywać wieczorem—bo oczywiście nie podczas żerowania, które kilka razy dziennie ma miejsce. Szkoda, że wyjechałem z tej miejscowości, bo i to byłbym sprawdził. Że po skończonem parzeniu się *wszystkie* samce opuszczają lęgowe błoto,—to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Chodząc na błoto tak często i pilnie przez lat kilkanaście obserwując, przy moim doskonałym wzroku, niepodobna, abym przecie choć raz jeden nie zobaczył samca z samicą w parze, jak się widuje inne ptaki niewysiadujące wspólnie i niepielęgnujące potomstwa. Bataljon nie przypada do ziemi, nie kryje się w trawie—lecz zawsze stoi wyprostowany z podniesioną głową, nie trudno więc na golem błocie zobaczyć go nawet zdaleka, ale najważniejszą jest ta, okoliczność że przy młodych nigdy samca niema, jak to czynią wszystkie ptaki, wspólnie potomstwo wychowujące.

Niema zatem wątpliwości, że prawdą jest to, com w pierwszym opisie powiedział, że bataljony żyją tak jak głuszce, cietrzewie i t. d., i że one mniej nawet od innych ptaków na troskliwą opiekę zasługują, umiejąc się same bronić najskuteczniej.

(D. n.).

K. Dębicki.

O raportowaniu.

Trafiają się niekiedy tak inteligentne psy myśliwskie, wystawiające zwierzynę, że bez uprzedniej nauki, potrafią „*aportować*", a i sama nauka aportowania nie jest zbyt nieprzystępną, jakkolwiek zdarzają się osobniki, które nie dając się nakłonić do tej posługi, skłonniejsze są zadowolnić się mamlaniem*).

Inna rzecz jest *raportowanie*. Jest to nauka trudniejsza i zaledwie przez niektóre wysoko inteligentne psy nabytą być może.

Raportowanie główne pożądanem jest w gąszczach, zaroślach, lasach, górach lub na wielkich przestrzeniach (na których spotyka się niewiele zwierzyny) i polega na tem, że pies, zapuszczając się w dalsze okolice bez pana, wyszukuje zwierzynę, a znalazłszy ją, wraca na umówione stanowisko (nawet do domu) i odpowiednim ruchem ogona „*raportuje*", czyli daje znać, iż zwierzynę znalazł i następnie doprowadza do niej myśliwego.

Do nauczenia takiego *raportowania* można dojść dwoma sposobami: albo odpowiednią tresurą w domu, albo doraźnem stosowaniem nabytych w domowej tresurze zasad — w polu.

Raportowanie przyswajają sobie po większej części takie psy, którym podczas domowej tresury wdraża się pewne ćwiczenia, zasadzające się na tem, żeby pies nie brał ukrytego pokarmu bez zezwolenia swojego pana, nietylko w izbie, służącej do nauki, ale i w przyległem jakiemkolwiek miejscu. Miejsce to, w miarę postępów ucznia, można z początku przenosić do innych pokoi, następnie do sieni, na podwórze, do ogrodu lub t. p.

Pies, który odnajdzie ukryty pokarm, winien wró-

*) Mamlaniem w języku łowieckim nazywa się zabawka legawca z ubitą zwierzyną, której nie chce przynieść do nogi.

cić się do swego pana i objawić mu pewnemi znakami, że go odnalazł, — następnie powinien na wezwanie „*pokaż*" zaprowadzić do miejsca i otrzymać go z rąk pańskich. Ponieważ w psach ważną rolę gra indywidualność, i nie każdy jednakowo może składać raporty, należy podczas tej nauki bacznie obserwować psa i badać twarz jego oraz całe zachowanie, aby uchwycić charakterystykę doniesienia danego osobnika.

Nie będziemy przedstawiać całego procesu przygotowania psa do posłuszeństwa i rozumienia rozkazów, w tem przekonaniu, że procedura ta jest powszechnie zbyt znaną i niemal na jedną modłę prowadzoną. Przystępując wszakże do nauczania *raportów*, musimy mieć psa doskonale pojmującego znaczenie wyrazów „*nie rusz*", „*szukaj*", i trzeba być pewnym, że bez wydania rozkazu „*pyf*" nie ruszy smacznego kąska, który ma poszukiwać.

Gdy wszystko jest w należytym porządku, układający chowa gdziekolwiek kawałek chleba, sera, lub mięsa, i przy wyrazach „*szukaj*", ażeby naprowadzić psa na właściwą drogę, postępuje sam naprzód w kierunku ukrytego pokarmu. Zauważywszy jednak, że pies już zwietrzył i zbliża się do kęska, winien natychmiast zmienić kierunek i iść zupełnie w inną stronę.

Pies nauczony *nie ruszać bez rozkazu*, chociaż odnajdzie poszukiwany przedmiot, nie tknie go pojmując, że bez pozwolenia wziąć mu go niewolno.

Jeżeli odrazu nie pobiegnie za panem, a robi stójkę przed kąskiem, należy go po pewnym czasie odwołać i zmusić, chodząc z nim razem, do poszukiwania w innem miejscu, w którem, rozumie się nie będzie można nic znaleźć—należy wszakże rozkazać „*pokaż*". Pies mając bezprzestannie na myśli świeżo odnaleziony przedmiot w innym punkcie wciąż będzie kierować się i zwracać ku niemu, potrzeba wtedy iść za nim prosto, bez żadnych już zboczeń, a gdy pokaże, otrzymać powinien prócz kąska parę pieszczot i zachęcających pochwał „dobry piesek".

Wypadki wszakże takie, żeby pies robił stójkę i nie poszedł za panem, który także chce znaleźć, są względnie rzadsze. Częściej bywa, że pies znalazłszy, rusza za panem, gdy ten postępuje w innym kierunku i pewnemi oznakami usiłuje wciąż zawrócić pana, dając mu poznać, że się myli i szuka tam, gdzie niema nic, więc on go prosi, aby szedł za nim. Należy wtedy dobrze zapamiętać obroty psa i jego fizyognomię i *natychmiast* zawrócić i skierować prosto do ukrytego pokarmu.

Tym sposobem, stopniowo powiększając teren poszukiwań, można wdrożyć psu zdolność *raportowania*.

Doraźna nauka psa, prowadzona w polu, zależną jest nietylko od psa, ale i od człowieka. Pies musi być niezwykłych cnót i inteligencyi, myśliwy zaś wysokiej cierpliwości, powściągliwości i wytrwałości. W każdym wypadku pies powinien przejść naukę wstępną i być *posłusznym* (karnym), a przedewszystkiem być łatwo *cofnym*, to jest, rozumieć gwizdawkę i na jej odgłos schodzić natychmiast ze stójki.

W polu ukrywany pokarm zastępuje zwierzyna, którą pies wystawia. Odwołany gwizdkiem powinien iść za panem, który zaraz na początku stójki (póki się pies nie obejrzy) powinien skierować się w zupełnie przeciwną stronę. Gdy odwołany gwizdkiem pies natychmiast przybiegnie, aby towarzyszyć panu, ten winien rozkazać mu „*szukać*"; pies mając właśnie świeżo wyrytą w pamięci zwierzynę, do której robił stójkę, zawróci się natychmiast ku niej i skieruje ku pozostawionej. Trzeba pójść ze nim i wyparowanego np. ptaka koniecznie *spuścić z dymem*.

Operacyę tę wykonać kilkakrotnie, coraz więcej opóźniając odwołanie ze stójki, i coraz więcej skręcając w strony przeciwne stójce. Po takich kilku lub kilkunastu ćwiczeniach, których liczby wszakże stanowczo nie da się określić, należy zaniechać gwizdka. Pies przyzwyczajony już do odwoływania, stojąc zbyt długo i nie mogąc doczekać się sygnału, ani pana, obejrzy się za nim, a widząc, że ten gdzieś się oddala sam porzuci stójkę i przybiegnie z raportem. Raport taki należy przyjąć, i bez żadnych rzekomych rozkazów, natychmiast zawrócić i iść za psem, nawołując tylko „*pokaż*".

Gdy podobne lekcye w otwartem polu dostatecznie się powiodą, i wypróbują psa dokładnie, należy zmienić teren nauki i przenieść ją w zarośla, a następnie do lasu. Zbliżając się do nich, wydaje się psu rozkaz „*szukaj*". Ten idzie i szuka, a znalazłszy, przypuszczam, robi stójkę; nie widząc wszakże pana dość długo — zawraca. Pan nie powinien wtedy opuszczać miejsca, z którego wyprawił psa na poszukiwanie, żeby mu nie utrudniać odnalezienia. Po przyjęciu zaś raportu winien udać się niezwłocznie za nim do wystawionej zwierzyny.

W końcu pies zrozumie, że obowiązkiem jego jest tylko wypatrzeć zwierza i donieść o tem panu, dla tego w następstwie czyni stójki albo krótkotrwałe, lub wcale ich nie wykonywa.

Może się zdarzyć, że w czasie między wyszukaniem zwierza przez psa i złożeniem raportu, zwierz czemkolwiek bądź poruszony zmieni miejsce i przeniesie się dalej. Powściągliwość nakazuje wtedy polecić psu odszukać, a samemu zatrzymać się na miejscu, do którego pies pierwszym raportem przyprowadził.

Polując z raportem, wystrzegać się należy strzelania do czegokolwiekbądź, gdyby się zdarzyło na stanowisku, na którem oczekujemy raportu; łatwo bowiem jednym lekkomyślnym, choćby najprzyjemniejszym strzałem, zepsuć całą uprzednio przeprowadzoną naukę. Pies musi być świadkiem i przekonać się, że strzelaną jest tylko ta zwierzyna, którą on wskazał.

Dla skrócenia oczekiwań na raport, dobrze jest zabierać z sobą krzesełko składane i jaką interesującą książkę do torby, a wreszcie notatnik dla gromadzenia wiadomości przydatnych do „Łowca Polskiego". Wtedy łatwiej będzie można uniknąć nastręczającej się pokusy do strzału na widok niespodzianie pojawiającej się zwierzyny.

Antoni Ignacy Tomaszewski.

Strzelba myśliwska

JEJ WYRÓB I PRAKTYCZNE ZASTOSOWANIE

przez

Jerzego Kocha.

Tłómaczył z niemieckiego **J. Kraszewski**

(Dalszy ciąg).

Wspomnimy ze strzelb, zbudowanych podług systemu Dreyse'go, jeszcze jedną tylko, a mianowicie model „Berger," dość rozpowszechniony, zwany także „Strzelba samo się odwodząca „*Fürst Pless*." I tutaj zamek jest zwykłym, trwałym zamkiem spiralnym.

W zupełnem przeciwieństwie do powyższych stoją dwie konstrukcye angielskich zamków spiralnych, które dla tego tylko wymieniam, by wykazać, że nie wszystko, co z Anglii pochodzi, jest „złotem, co się świeci." Dwóch znanych angielskich fabrykantów puściło tę broń w świat: Woodward w Birmingham i Grant w Londynie.

Pierwszy umieszcza wprawdzie w kierunku osi luf bełt (*Schlagbolzen*), konieczny u sprężyny spiralnej, ale nie uznaje sprężyny spiralnej jako dostatecznego bezpiecznika i umieszcza automatyczne zabezpieczenie przy cynglach i kierownikach. Zamek jest umontowany w tylnem zamkniętem wyżłobieniu baskuli, jest przeto zupełnie niedostępny.

Drugi, także bardzo znany fabrykant kombinuje zamek spustowy z zamkiem spiralnym, tak, że tutaj sprężyna spiralna jest tylko przeszkodą, bo wymaga pomnożenia części zamkowych. Pałeczka, okręcająca się około osi, pozostała, na nią działa sprężyna spiralna, ale nie wprost, lecz za pomocą bełtu (*Treibbolzen*), na którym jest umieszczona.

Bełt wpuszcza się swym płaskim przednim końcem w główkę pałeczki, a tylnym porusza się w wyżło-

bieniu, zastosowując się do poruszeń pałeczki i posuwając ją naprzód, gdy sprężyna spiralna przez ruch odtylcowy się zwolni. Naprężenie uskutecznia się za pomocą dźwigni, umieszczonej na prawym boku zamka; dźwignia przystawką wpuszcza się w wyżłobienie pałeczki, naprężając sprężynę spiralną.

Widzimy tam jeszcze automatyczny cynglowy zabezpiecznik (*Abzugssicherung*), bardzo skomplikowany, który jako zależny od bardzo słabej, dziwnie krętej sprężyny, nie zasługuje na uznanie.

Czy te obiedwie konstrukcye kiedykolwiek w swej ojczyźnie miały zwolenników, jest mi niewiadomem, dziś prawdopodobnie należą już do rupieci.

Natomiast niedawno opatentowano fabrykantowi „Lahaye w Suhl" strzelbę z zamkiem spiralnym bardzo prostej i praktycznej konstrukcyi. Sprężyny spiralne, umieszczone na beltach, naprężają się za pomocą długiego ramienia dźwigni, otwierającej strzelbę. Belty pozostają na swem stanowisku przez wpuszczenie się swych spustów w kierowniki, podobnie jak u zamka perkusyjnego, przyczem zasuwka zabezpieczająca, umieszczona na tarczy, umacnia kierowniki w spustach. Zamek zajmuje w tylnej części kolby mało miejsca, dając gwarancyę jej trwałości. Odwiedzione zamki zaznaczają sztyfty, wysuwające się na blaszkę. Zabezpieczenie jest pewne.

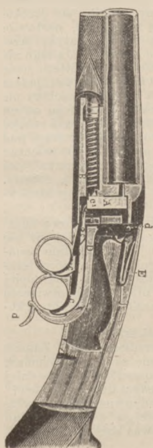

Fig. 83. Przecięcie zamka.

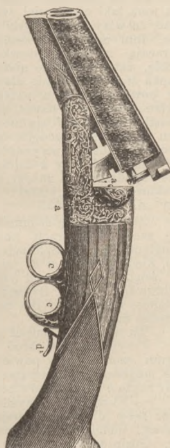

Fig. 84. *„Idéal" de Manufacture française d'armes de St. Etienne.*

Przed kilku laty wprowadzono w Niemczech strzelbę wynalazku „Albrecht Kind w Hunstig". Fig. 83 i 84 *Fusil „l'Idéale" sans chiens de la manufacture française d'armes de St. Etienne.*

Broń ta wzbudziła w kołach myśliwych dla oryginalnej konstrukcyi i eleganckiej formy wiele zajęcia.

W tym samym czasie ukazała się w handlu strzelba „Thieme i Schlegelmilch" w Suhl zupełnie podobnej konstrukcyi, co powyższa. Wszczęła się polemika w pismach łowieckich, komu przyznać pierwszeństwo, ale dotąd nic nie rozstrzygnięto.

Zamek wykazuje następującą konstrukcyę fig. 83.

Pałeczka *A* posiada boczne ramię, na którem spoczywa sprężyna spiralna *B*, przymocowana śrubą. Pałeczka porusza się w wygłębieniu baskili i ma na tylnym końcu swego ramienia spust *c* dla haczykowatego końca kierownika *c*, który się składa z jednej sztuki z cynglem. Sprężyna spiralna nie napręża się przez opadanie luf, tylko za pomocą dźwigni *D*, umieszczonej pomiędzy zamkami, a zostającej pod wpływem sprężyny. Otwieranie uskutecznia się za pomocą rączki *d*.

(D. c. n.).

Parę tygodni na Polesiu.

(Dalszy ciąg).

Większa część ludności ze wsi przebywa podczas okresu pastwiskowego w lasach w t. zw. chutorach. Jest to jakaś waląca się obora i szałas z desek bez drzwi i okien, zabezpieczony czasem gałęziami od śniegu i wiatru. W środku tego szałasu pali się wiecznie ogień, po bokach ludzie, psy—u góry wisi wędlina, no i tak ³/₄ roku ci ludzie spędzają, dozorując inwentarza. Tak umiłowali ten sposób życia, że najbogatsi wolą marznąć tam późną jesienią i wczesną wiosną, jak przebywać we wsi w chacie, która przecież o całe niebo jest wygodniejsza od takiego tymczasowego szałasu. A że Poleszuk na pacierz nawet w lesie bez ognia się nie obchodzi, więc kiedy idzie orać swą polankę, rozkłada ogień, inny co pasie, również roznieca ogień, z czego pożary bardzo są częste. Otóż te pożary, a nie pasanie, niszczą przerażająco lasy. Ani jedna młoda sosenka nie może wyrosnąć, bo jeżeli nie w pierwszym, to w drugim, dziesiątym roku przyjdzie na nią ogień i spali; niszczy nawet i starsze, lecz kilkodziesięcioletnie, choć opalone, bronią się jeszcze. Ale gdy i te się wytnie, to co wtedy zostanie? Nie kradzieże drzewa, nie trzebieże, nie wycinanie lasów, ale pożary je niszczą i gdy tak dłużej potrwa, zniszczą do szczętu. Obraz nędzy i zniszczenia!

Oczywiście w lasach rządowych to się nie zdarza, bo tam serwitutów niema. A że mogą być sosny poważne, którym dano czas wyrosnąć, kiedy jeszcze były mniej zaludnione te okolice, to przekonałem się naocznie. Widzieliśmy ich kilkaset, tych szczątkowych zabytków dawnej przeszłości. Grubość ich jest taka, że z łowczym we dwóch nie mogliśmy objąć, wysokość na strzał z dobrej sauerówki, ale w środku zgniła!

Poleszucy mówią, że „wody—choć utopić się, ognia—choć się spalić, a dokupiwszy chleba, można żyć." Potrzeby ich są jeszcze mniejsze, aniżeli chłopa białoruskiego. Oprócz soli i wódki, nic nie kupują. Inwentarz ma, łapcie uplecie, świtkę i koszulę w domu utka—no, naragi (lemiesze) do sochy musi kupić, nafty nie zna, bo ma wieczny ogień w chutorze, a łuczywo w chacie.

Nierzadko się też spotyka na polankach stogi zboża na wywyższeniu, postawione w celu ochrony przed myszami—z przed 15 lat! Ryb, a przynajmniej piskorzów, w każdym rowie mnóstwo, pszczoły na każdej starej sośnie, grzybów co nie miara.

Dodam jeszcze, że dobrowolne uregulowanie serwitutów pastwiskowych będzie niezmiernie utrudnione na Polesiu, z powodu natury i charakteru jego mieszkańców. Tak jak góral przywykł do swojej górzystej ojczyzny i rozwinął w sobie silne poczucie indywidualności, tak i Poleszuk nie potrafiłby się wynieść ze swoich chutorów, które zakłada, gdzie mu się podoba, do swojej wsi. Lud ten żyje jeszcze na sposób prastarej pasterskiej epoki i na los spokojnego zagrodnika-gospodarza nie łatwo zrezygnuje.

Jak te serwituty na łowiectwo fatalnie oddziaływają! Bo każdy mężczyzna, to myśliwy: tępi głuszce, cietrzewie, kozy, kiedy mu się podoba, a mali pastuszkowie, gdy znajdą jajka głuszycy, cieciorki lub kaczki, wybierają je i bez względu na okres zalężenia, urządzają sobie jajecznicę.

No, ale przejdźmy wreszcie do naszego budanu. Zimno, wiatr, krupy padają, grzejemy się. Nad wieczorem idziemy na zasad, ja już nie z „profesorem," ale z miejscowym strażnikiem, Fedkiem. Pyszny typ

raczej maloruski: oczy czarne, żywe, filuterne, sucha twarz, włosy kręcone, na ramiona spadające, chłop zgrabny i sprytny.

Rano mróz. Idziemy na zasadzonego głuszca, słuchamy. Po półgodzinnem oczekiwaniu zaczyna klapać, a wkrótce potem śpiewać, czego ja jeszcze nie słyszę, ale polegam na tem, co mi Fedko szepce: „poje." Łapie mnie za rękę i po najfatalniejszym terenie skaczemy. Zawroty, wywroty, gałęzie, mech, błoto. Pod jedną zaporę trzeba podłazić, inną przez wierzch przechodzić, całe pieśni przepuszczać, zanim się człowiek z pod zawału wydobędzie. Jedna gałęź w szyję kluje, druga w ucho włazi, inne w oczy, cierpieć trzeba, ale trudno!

Podskakiwanie idzie bardzo wolno. Już tak z godzinę torturujemy się. Choć mróz, ale gorąco się robi. Fedko swoją baranią czapkę zdjął i dyszy tak, jak i ja, ale prowadzi. Tymczasem coraz widniej się robi; na wschodzie już brzask, a głuszec pod zorzę może nas zobaczyć, bo chociaż nic nie słyszy, ale widzi kapitalnie. Czekamy, nogi drżą; zaczyna, ale taki chytry, że zaczyna klapać, i już, już ma być, a przynajmniej, powinien być odbój, pieśń i nasz skok, a tymczasem on ucina, milczy, i tak kilkanaście razy.

Las rzadki—niema się czem zasłonić, coraz widniej się robi. Spostrzegam go nareszcie o jakie sto kroków na wysokiej sośnie. Ale i on nas spostrzegł, bo uciął. Tak patrzyliśmy na siebie z pół godzin. Fedko szepce: „żari pan na tę metę?" Ale myślę sobie: „może nie będę nigdy strzelał do głuszca, co tam, nie po myśliwsku to co prawda, ale 6 zer—a może ziarnko w głowę trafi?" Jakżeż żałowałem, że nie mam trzylufki, jak moi dwaj towarzysze! Ileż to oni już nabili na tę metę kulami z trzeciej lufy głuszców, cietrzewi. P. Michał dzika raz na zasadzie ubił. No więc—walę! Głuszec zleciał, ale na drugą sosnę jeszcze dalej, nie było po co podchodzić. Polowanie skończone, nikt nie strzelał wtedy, bo faktycznie głuszce były płoszone przez oddalonego za brakonierką leśnika. Ztąd takie klapanie, które przerywał, a pieśni nie rozpoczynał.

Znowu zwijamy obóz i jedziemy dalej o jakie 20 wiorst. Robi się trochę cieplej. Idziemy na zasad, każdy w inną stronę; teren odmienny,—wrzos suchy i błoto z mchem. Fedko mnie postawił nad błotem, gdzie miał zasiadać głuszec, sam poszedł dalej. Stoję z $1\frac{1}{2}$ godziny, robi się coraz ciemniej, ale nie słyszę nic. Odchodząc, jak zwykle, cicho, zdaje mi się, że słyszę klapanie het, gdzieś tam o 400 kroków. Zbliżam się ostrożnie—słyszę—klapie i gra.

Jestem uszczęśliwiony! Czekajcież, teraz nikt nie przeszkodzi, jestem sam, teren nie bardzo trudny, poskaczę dla wprawy. A ptak tymczasem śpiewa. Bo dodać muszę, że niepłoszone głuszce w cieple wieczory śpiewają i nieraz się zdarza na zasadzie zabić, o ile nie jest bardzo ciemno. Wsłuchuję się uważnie, przepuszczam parę pieśni i nareszcie, jak to mówią, „chwytam się pieśni." Po odboju, jazda, robię po cztery duże susy. A ten śpiewa jak najęty: co jedną skończy to klapie i znowu śpiewa. A ja skaczę, serce bije, w gardle sucho, coraz bliżej jestem grupy sosen, podskakuję, aby zasłonić się jedną z nich, choć już dobrze ciemno. Staję za nią, bo już trudno dalej skakać. Wiem, że tu gdzieś siedzi, albo na jednej, albo na drugiej, ale gdzie? Przechylam się ostrożnie i patrzę z po za pnia to na prawo, to na lewo—słyszę—nie dalej, jak o 20 kroków, ale nie widzę nic.

No—myślę sobie—tom się urządził! Sądziłem, że jeszcze będzie tak widno, że go sprzątnę z wieczora, ale ani marzyć o tem. Trzeba więc stać jak wrośnięty aż mojego głuszca sen zmorzy... I stać musiałem ze trzy kwadranse, nie śmiejąc prawie śliny przełknąć, w jednej pozycyi, nie mogąc kolby na ziemi postawić, bo tego tak ładnie podskoczyć, zasadzić i spłoszyć, to już byłaby moja wina. Biorę więc na cierpliwość (a nią nie grzeszę) i czekam. Zasnął nakoniec, zaczynam się wykradać, ale gdy postawiłem nogę na suchym wrzosie, zdawało mi się, że piekielny hałas sprawiam. Do drogi kilkadziesiąt kroków, a tam już piasek. Nareszcie po szalonych wysiłkach zachowania ostrożności wykradłem się na drogę. Następnie trzeba było paręset kroków po wodzie iść, ale i to się udało. Przekonałem się, że nie podnosząc za wysoko nóg, aby woda nie ściekała, bardzo cicho chodzić przez wodę można. Tak byłem cicho nastrojony, że kiedy do budanu przyszedłem ($1\frac{1}{2}$ wiorsty) jeszcze głośno odezwać się nie śmiałem. Przyszedł Fedko, który właśnie tego głuszca dla mnie zasadzał i widział mnie skaczącego i bardzo chwalił, że dobrze w pieśń skakałem. Panowie ganili, że to ryzykowne, że mogłem głuszca spłoszyć, że może jutro nie śpiewać i t. d. Zobaczymy.

(D. n.)

Z. T.

Z Dalekiego Wschodu.

(Dalszy ciąg).

Taki przemysłowiec w Rosyaninie widzi jedynie swego wroga, który wkracza w jego granice, burzy jego spokój i przyprowadza go do upadku. Powiększać sobie nienawiść takich, w samej rzeczy, niewinnych ludzi, nie było moim zamiarem, nigdy też nie niszczę im „płaszek". Jeżeliby przypadkiem przeszedł za mną taki niszczyciel zwierzyny, mógłby się przekonać, że wszystkie „płaszki" stoją nietknięte, nastawione. Inni myśliwi, przechodząc, trącają patyk, przewracają żerdź, i „płaszka" się zamyka. Ja tego nie robię, zatrzasków nie niszczę. Po co to? Niech sobie łapka stoi, ale właśnie dla tego, żeby stała, podkładam w pewnem miejscu patyczek i takim sposobem nie tylko soból, ale nawet pies może przejść po owym mostku i „płaszka" się nie zapadnie. Żeby zaś odkryć ten figiel, trzeba podejść do samej płaszki, spojrzeć pod mostek i dobyć ową podpórkę z patyczka. Nie wiedząc o tem, Chińczycy z daleka spoglądają: „płaszka" stoi nie zapadnięta, co znaczy, że jest w porządku, gotowa. Takim sposobem „płaszki" stoją całą zimę, nie złapawszy ani jednej sztuki.

Zaczynało się ściemniać tak dalece, że ową ścieżkę zaczynałem tracić pod nogami, gdyż jej już nie mogłem dojrzeć. Spieszyłem się. Było zupełnie ciemno, kiedy doszedłem do jakiejś polanki, na której leżały ścięte pnie, a pod nogami czułem znacznie lepiej utorowaną drogę. Gwiaździste niebo słabo oświecało okolicę; widziałem tylko niebo, zasłonięte przedtem koronami drzew.

Tu w pobliżu musiał ktoś mieszkać.

Przygotowałem broń i poszedłem dalej. Zapach dymu czuć było w powietrzu, ale zkąd on pochodził, nie mogłem się zoryentować. Poszedłem jeszcze dalej gdy nagle o kilka kroków z boku usłyszałem: „Kto idzie?"

— Któż, jak nie myśliwy—odpowiedziałem, a dlatego żeby nie okazać najmniejszego zmieszania lub obawy, dodałem:—Myślałem że was dziś już nie znajdę. Gdzie drzwi?

Taki sposób jest najlepszy, gdyż odrazu wyrabia pewne niezależne położenie. Gdybym był odpowiedział: Zabłądziłem, pozwólcie mi się u was zatrzymać, odpocząć, i t. p.—postawiłoby mnie to w zależności od tych leśnych mieszkańców.

Otwierają się skrzypiące drzwi od dość obszernej izby, pełnej dymu, oświetlonej słabo. Dym napełnia ją gęstą mgłą; widocznie, że pali się drzewo mokre, lub smolnych gatunków.

— Cóżeście tyle dymu narobili, tóż oczy potracicie—robię im wymówkę, badając, jednocześnie kto są owi właściciele chaty. Spoglądam jeszcze na dwóch siedzących drabów, zajętych szyciem czegoś przy świetle łuczywa, ale żadnego z nich nie znam.

— Pan Dąbrowski? Pan przyjechał z Chudjakowem?

— Tak jest, z nim.

— Pietro był u nas i mówił nam, że oczekuje waszego przyjazdu.

Takiemu niespodziewanemu obrotowi rzeczy byłem rad nieskończenie, byłem bowiem przekonany, że spot-

kam tu Chińczyka.—Oglądając się po izbie, widzę wszędzie chińskie graty, stanowiące ubogie ich gospodarstwo.

— A gdzież jest właściciel chaty?—zapytuję.

— Od dwóch tygodni my jesteśmy właścicielami—odpowiada najstarszy, nie szyjący.—Dawny posiadacz nie zgadzał się żyć z nami wspólnie.

Okazuje się z tego, że łajdaki albo go wygnali, zabrawszy mu wszystko, co było cenniejszego, albo też sam uciekł od nich, a oni zawładnęli chatą i jego „płaszkami", przy pomocy których łowią teraz sobole. Mnie znają oni z Władywostoku, a jeden z nich podczas narodowego strzelania do celu dostał nawet nagrodę z rąk moich, co mi zaraz przypomniał.

— Krawiectwem się zajmujecie?—zapytuję szyjących sobie spodnie ze zwykłego worka i to nie płóciennego, a wańtuchowego.

— Podarliśmy naszą odzież zupełnie—objaśniają mnie—nie mamy w czem chodzić.

Zdejmuję z siebie kuklankę, która wzbudza podziwienie jako przedmiot „prawdziwie cenny do polowania". Jeden z mych gospodarzy, pomagając mi ściągać kuklankę, bierze palcami za spodnie.

— Takie nie łatwo się zedrą—objaśnia.—Spodnie miałem zamszowe.

Okazuje się, że w ciągu dwóch tygodni wałęsania się, zabili dwa dziki, jednego jelenia i jednego sobola. Mięso sprzedali drwalom, kupili za to ryb solonych i kartofli i tem żyją.

Nie byłem głodny, więc wypiłem tylko kilka szklanek i to ich herbaty cegiełkowej. Zaproponowali mi kupno sobola.

— Niedrogo i na kredyt chętnie wezmę, gdyż z sobą pieniędzy nie wziąłem.

W tych dniach wybierają się jeszcze o wiorst 15 dalej, „gdzie również Chińczycy mieszkają"—objaśnili mnie. Nic nie odpowiedziałem, ale zrozumiałem, że i tam grabieżą będą się zajmowali.

Zapatrują się oni na ten rodzaj postępowania zupełnie logicznie, idąc ręka w rękę z rozporządzeniami władzy: pomagają niszczyć to, co jest dla niej szkodliwego. Ani się nawet nie domyślają, że są złodziejami i rabusiami. Jednem słowem była to trójka kryminalistów, ale dla mnie nie przedstawiających żadnego niebezpieczeństwa.

Zaczęła się rozmowa o zwierzynie, o jej ilości, gdzie się trzyma i t. p. Okazało się, że w bliskości owej chaty dzików prawie niema, ale ponieważ łowcy mają do rozporzędzenia przeszło sto „płaszek", więc liczą, że skoro śnieg stwardnieje, sobole zaczną się łapać lepiej. Rozumie się, że o mym figlu, który przeszło dwadzieście płaszek uczynił nieszkodliwemi, ani słowa im nie wspomniałem. Nie spostrzegą tego do końca łowów.

Dowiedziałem się, też od nich, że do owej dużej chaty, która leży nad rzeką Małą Kabargą, prowadzi prosta, dobrze wydeptana droga, gdyż po niej mięso nosili. Wiadomość ta była dla mnie bardzo pożądaną, gdyż idąc w nocy, najzupełniej zgubiłem kierunek.

(D. c. n.).

Jan Dąbrowski.

Łosie w Szwecyi.

Poniżej załączamy wykaz łosi, zabitych w poszczególnych prowincyach Szwecyi w 1901 roku.

	Byki	Krowy	Cielęta	Płeć nieoznaczona	Suma
Norrbottens Län	70	95	—	120	204
Vesterbottens Län	24	20	—	—	44
Vesternorrland Län	3	4	—	14	21
Jemptlands Län	19	19	1	44	83
Gefleborgs Län	38	19	—	18	75
Kopparbergs Län	36	46	—	173	255
Vermlands Län	85	68	12	12	177
Orebro Län	131	109	24	26	290
Vestmanlands Län	59	40	14	24	137
Upsala Län	27	33	0	5	74
Stockholm Län	53	35	17	17	122
Södermanlands Län	61	35	18	—	114
Ostergötlands Län	65	55	2	—	122
Skaraborgs Län	32	21	12	3	68
Elfsborgs Län	—	—	—	104	104
Bohns Län	—	—	—	3	3
Jonkjöpings Län	—	—	—	83	83
Kalmar Län	27	30	13		70
Kronobergs Län	103	95	79	—	277
Kristianstads Län	—	—	—	1	1
Ogółem	842	724	201	647	2414

Dwa tysiące czterysta czternaście sztuk jest to liczba bardzo poważna, której poprzednio żadnego roku nie osiągnięto w Szwecyi. Przewyższa ona o 602 sztuki ilość łosi, zabitych w tym kraju w 1900 roku. Prawdopodobnie niezwykła susza, która się rozpoczęła w lecie i przeciągnęła do późnej jesieni, przyczyniła się do tak udanych polowań. Wprawdzie suchość gruntu czyniła tropienie prawie niemożliwem, a użycie psów mało pomocnem, ale z drugiej strony brak wszędzie wody, z wyjątkiem rzek i jezior, ułatwiał bardzo myśliwym zlokalizowanie łosi. Kompletna ochrona, zaprowadzona dla łosi w prowincyach Jonkjöping i Kronobergs, wyekspirowała w 1901 r., a te dwa okręgi dały 360 sztuk. Przybytek w zwierzostanach łosi jest bardzo widoczny w prowincyach: Norrbottens, Kopparbergs, Orebro, Elfsborgs i Vestmanlands, gdy lekki ubytek zauważyć można w prowincyach Vesternorrlands, Vermlands, Stockholm i Sodermanlands.

J. S.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 13 sierpnia. P. Jacuński prosi o zmianę stróża przy miejscu ochronnem we wsi Aleksandrowie, w pow. nowo-mińskim. Żądaniu postanowiono uczynić zadość.

Na sędziów w tegorocznym konkursie wyżłów, który odbędzie się w d. 6 września zaproszono: pp. Stanisława Lilpopa, Aleksandra Szwedego, Wacława Paszkowskiego, Aleksandra Patzera i Józefa Zarembskiego; na zastępców zaś pp. Romualda Więckowskiego, Jana Sztolcmana i Henryka Malhomme. Zapisy przyjmuje kancelarya Oddziału do dnia 5 września włącznie.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i Polowań, 19 sierpnia. Z uwagi na bardzo spóźnione w tym roku żniwa i mnogość jeszcze małych kuropatw, Wydział postanowił otworzyć polowanie na kuropatwy i przepiórki dla członków Oddziału na gruntach Osieckich dzierżaw dopiero w d. 1 września. Jakkolwiek i w tym terminie prawdopodobnie nie wszystkie zboża będą sprzątnięte, jednakże pozostanie już niewiele i polowanie wogóle stanie się możliwem, dotąd bowiem zboże na pniu stojące poprostu nie pozwalało polować.

Przypominamy pp. Członkom Oddziału, że udając się na polowanie na kuropatwy należy zaopatrywać się w bilety na prawo polowania na dzierżawach Oddziału na II półrocze, które będę wydawana przez kancelaryę Oddziału tym tylko Członkom, którzy mają opłaconą składkę członkowską za bieżące półrocze.

Posiedzenie Rady, 27 sierpnia. Członek Oddziału, p. Modliński z Dąbrowy Górniczej, zwrócił się do Rady z prośbą o wyrobienie biletu na prawo utrzymywania broni myśliwskiej. Rada postanowił prosić p. gubernatora o udzielenie żądanego biletu. Przy sposobności zwracamy uwagę tych pp. Członków, którzy za pośrednictwa Rady zamierzają starać się o pozwolenie na broń, że do odezwy do Rady należy dołączyć podanie, opatrzone właściwemi markami stemplowemi a wystosowane do właściwego gubernatora, gdyż pominięcie tej formalności stawia całą rzecz w zwłoce.

P. Gubernator Warszawski zawiadomił Radę, że najgorliwszym w tępieniu kłusownictwa w 1901 r. był starszy strażnik, kutnowskiej komendy Kurejko, Wobec tego Rada postanowiła wydać Kurejce nagrodę w postaci srebrnego zegarka z dewizką.

Drobiazgi Myśliwskie.

Ofiara rui. W lesie Chojnowskim pod Warszawą, natrafiono d. 14 sierpnia na świeżo zabitego rogacza, który padł pod razami silniejszego widać przeciwnika. Po zbadaniu przyczyny śmierci okazało się, że oprócz sześciu mniejszych ran po bokach, miał przebite serce i bok w okolicy serca, tudzież silnie nadwerężoną czaszkę w dwóch miejscach, nad okiem i na ciemieniu, prócz czego końce rożków były pozbijane, a raciczki, tudzież biegi głęboko pokaleczone. Notujemy ten fakt jako dosyć rzadki, walki rogaczy bowiem, wyjątkow kończą się tak tragicznie, gdyż zwykle słabszy ustępuje silniejszemu; częściej napotyka się na uśmiercone kozy, które zuchwały rogacz w czasie kocenia napada i bezbronne zabija. W tym roku obserwujemy niezwykle długi termin rui—początek bowiem zauważano w ostatnich dniach czerwca, a obecnie już koniec sierpnia, a ruja trwa jeszcze. *Wiktor Stephan.*

Jamnik napadnięty przez orły. W Melchthal, kantonie Unterwalden, w Szwajcaryi, według *H. J. Z*, gdy leśnik pod wieczór wracał z lasu z wiernym swoim towarzyszem jamnikiem, naraz pomknął z niedalekiej odległości lis. Jamnik pobiegł za lisem, a zamyślony leśnik powrócił do domu, sądząc, że za śladem powróci jego wierne psisko. Gdy jednakowoż jamnik nie stawił się na wieczerzę i całą noc po za domem pozostawał, zaniepokojony leśnik udał się następnego dnia do tego samego rewiru, chcąc sprawdzić przyczynę nieobecności psa. Odnalazłszy to miejsce przystanął na chwilę i słyszy zdaleka ciche skomlenie psa. Poszedł więc w tym kierunku, zkąd dał się słyszeć odgłos, i naraz widzi krążące nad jodłą trzy duże orły z gatunku łomignatów, które kolejno z gwałtownym impetem opuszczały się na ziemię. Podszedł więc bliżej, usłyszał skowyczenie wiernego swego psiska i odgadł, że przedmiotem gwałtownych ataków był jego jamnik. O ile mógł skorzystać z naturalnej osłony, zaczął podchodzić łomignaty, strzelił, lecz chybionym strzałem ten tylko odniósł skutek, że zmusił je do opuszczenia ofiary. Doszedłszy do jodły znalazł biednego psa w opłakanym stanie; zakrwawiony i drżący jamnik miał jeszcze tyle sił, aby wyczołgać się z pod na dół zwieszonych konarów jodły, które służyły mu za osłonę i ratunek. Naokoło jodły widoczne były ślady walki na śniegu; dokładnie było można poznać, z jaką gwałtownością skrzydłami nacierały orły na jamnika, chcącego się wydostać z chwilowej kryjówki. Biedne psisko musiało bardzo cierpieć. Ledwie dyszącego jamnika zabrał leśnik do domu, lecz pomimo najtroskliwszej opieki pies zdechł po kilku dniach.

Kłusownik w żelazach. Pewien myśliwy w Kroacyi zastawił dwa żelaza na wydry. Jakież było jego zdziwienie, gdy nazajutrz zamiast wydry, ujrzał w żelazie człowieka, leżącego i jęczącego na ziemi. Poznał w nim osławionego w okolicy kłusownika, który schwycił się za jedną nogę w okolicy kostki i wydobyć się z pułapki nie mógł. Smutny ten wypadek tak poskutkował, że złodziej zwierzyny zaniechał zupełnie kłusownictwa.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu K. Dębickiemu. Artykuł Szanownego Pana pomieścimy w feljetonie, skoro ukończymy drukowanie prac, poprzednio nadesłanych.

Treść Nr 17 „ŁOWCA POLSKIEGO".

Prenumerata „ŁOWCA POLSKIEGO" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa Nowy Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:

Smolna 34, w Warszawie.